



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Most na Smotryczu i ogólny widok Kamiénca.

Z WYCIECZEK WAKACYJNYCH.

(Dalszy ciąg).

Najpierw ukazano order (rozkaz) własnoręczny sułtana, bo tak chce prawo, polecający komendantowi zwrócenie twierdzy, potem rozpatrzono kwity z oczyszczonych fortec

wołoskich, w końcu przeczytano dokument wydany przez komisarzy polskich, świadczący o odebraniu Kamiénca.

Po ukończeniu tego przeglądu papierów, odezwał się basza:

— Wzięliśmy Kamieniec kawalersko, oddajemy kawalersko.

A Ibrahim basza rzekł:

— Pan Bóg nam każe, abyśmy wam oddali Kamie-

niec—przyczem janczar Aga oddał klucze od bram wszystkich, a imć pan wojewoda Kijowski, zdjąwszy pierścien piękny, dyamentowy z palca, oddał baszy Kamienieckiemu na niezabudysz, wzajemnie on też kilku więźniów darował i Ormianina, Stefana, tłumacza swego uwolnił od usług, aby w Kamieńcu zostawał.

Po wspólnem pożegnaniu, zaraz się ruszyli Turcy ku Dniestrowi a ichmość panowie komisarze ordynowali ludzi na przydyum do Kamieńca, gdzie wartę postawiwszy, sami powrócili do obozu. Na pożegnanie basza przestrzegł naszych, aby *inquirant* jeżeli kędy czego nie podłożono, jakoż byli ostrożni w tem nasi i poznajdowali po piecach i kaflach prochy z kulami, także i w kominach między ceglami.”

Potem nastąpiło oczyszczenie kościołów, które tak opisuje Bohdanowicz:

J. M. X. Dłużewski, sufragan Chełmski, jako administrator biskup Kamieniecki, tegoż dnia z kilkuset kapłanami udał się najpierw do kościoła katedralnego.

We czwartek nastąpiło wyświęcenie tego kościoła katedralnego, podczas której *reconcyliacji* rzecz *stupendo* stała się, gdy za pokropieniem pierwszym razem wodą święconą jednego kąta kościelnego, z którego muru jabłonka wyrosła była, z chwilą trąbienia przez połowę kwiatem się pokryła. Za trzecią procesyą odbywaną zwykle w takich razach naokoło świątyni, pokryła się cała kwieciami, choć za niewoli tureckiej sucha przez 27 lat stała, jak o tem świadczą Ormianie zamieszkali w mieście. W piątek był tryumf dziękczynny Bogu z odebranego Kamieńca i pokoju, tenże sam kapłan administrator na ambonie tureckiej w kościele Dominikańskim, kazanie miał dosyć godne.

„Podczas procesyi i *Te Deum laudamus*, z ręcznej strzelby i z dział ognia dawano ku Dniestrowi, aby wznowione były tym okrzykiem zwycięskim Cordolia Bisurmaństwa, którzy płakali i prawie jęczeli od żalu, że ustępowali z Kamieńca, bo drudzy rodziłi się i wychowali, a jako do obcej ziemi, teraz do Turcyi wyjeżdżali; sam basza wyjeżdżając z bram Kamieńca rzekł: „bodaj było wprzód po głowie mojej tędy wjeżdżano, niżelim stąd miał ustępować.”

Ostatnie nabożeństwo tureckie podpatrzyli nasi w kościele katedralnym; wywieszono chorągiew bardzo bogatą mahometańską, złotem suto, perłami i drogiemi kamieniami sadzoną, którą sułtan na pamiątkę, że był w meczecie, zostawił. Nasz niewolnik spuszczał i odrzynał z góry, która gdy upadła na pawiment pięknie usłany, wszyscy się z płaczem całowali i począwszy od baszy do najmniejszego, poczem zwiniętą pięknie, schowali.

Tego rodzaju obrządki długo się jeszcze ciągnęły, bo wyświęcano kolejno wiele innych kościołów, obróconych na różne użytki, z ozdób wszelkich odarte, a często z uszkodzonymi murami, które nieprędko do porządku doprowadzono.

Długoletni pobyt niewiernych, pozostawił smutne ślady. Wszędzie niewola szła w parze z nędzą, a krzyż przed księżycem ustępował. Zyskały tylko fortyfikacye, bo Turcy wznosili mury i baszty w obawie odwetu ze strony Polaków. Postawili też most oryginalny, bo wzniesiony na nasypie wypełniającym szerokość doliny, po której płynie Smotrycz. Obrócili na to wiele budynków, umyślnie zrujnowanych, a między innemi klasztor PP. Dominikanek.

Do dziś dnia most ten pod nazwą tureckiego, oddaje usługi miastu.

Drugim zabytkiem z czasów tureckich, jest dotykający do murów katedry z prawego boku smukły minaret, skąd muła na modlitwy zwoływał. Dziś z wierzchołka jego, statua Najświętszej Panny w koronie z gwiazd, a pod stopami księżyc mająca, błogosławi miastu.

W kościele Dominikanów znajduje się z tychże czasów piękna kazalnica z kamienia ciosanego, w stylu wschodnim wykuta.

Kamieniec jest głównem miastem gubernii podolskiej.

II.

— Stąpając po tej ziemi — mówił następnego dnia wujek rozpatrzmy pomniki ubiegłych wieków.

Widzimy przed sobą miasto na długiej strózkowatej skale zbudowane, opasane zewsząd wodami Smotrycza, płynącego w głębokiej kotlinie. Tu i owdzie między białymi domami sterczy stara baszta, przewyższająca znacznie sąsiadów swoich, dziwnie drobno przy niej wyglądających.

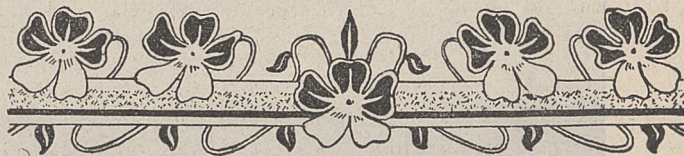
Miasto niegdyś zamykały dwie bramy: Lacka od wschodu, Rуска od zachodu; każda brama była fortecą o pięciu wieżycach, od nich ciągnęły się mury wzdłuż rzeki, w strzelnicze zaopatrzone i dochodzące do bastyonów uzbrojonych w działa.

Od bramy Lackiej, z której pozostały tylko dwie baszty, mury dawniej stykały się z rundlem czyli wielką basztą, wzniesioną przez króla Batorego na górze i dobrze w działa zaopatrzoną. Był to punkt bardzo trudny do zdobycia; po wzięciu dwóch bram poprzednich, nieprzyjaciel stąd odparty, odchodził nie zdobywszy miasta. Obecnie tak zwana brama Batorego dobrze zachowana i dachem pokryta, mieści skład prochu.

Na frontowej ścianie czytamy napis łaciński: *R. P. 1585 przez Stefana zbudowana, przez Stanisława Poniatowskiego odbudowana i powiększona r. 1785.*

Brama trzecia Ruską zwaną, broniła miasta od zachodu, całym szeregiem fortyfikacyi łączyła się z bramą Batorego, dziś niewielkie z niej pozostały ślady w sterczących samotnie basztach i kruszących się murach.

(d. n.)



Pogadanki z dziedziny chemii.

VII. Jak i kiedy pierwiastki łączą się chemicznie pomiędzy sobą.



onieważ wiemy już, że siła chemicznego przyciągania istnieje we wszystkich ciałach, ale nie zawsze objawia się z jednakową potęgą, że naprzykład pomiędzy potasem a wodorem działa ona nader energicznie, to nasuwa się przypuszczenie, że możnaby ustawić wszystkie pierwiastki w szereg, któryby wykazywał, z jaką one siłą dążą do związku z tlenem, albo z innym jakimś pierwiastkiem.

Podobny szereg możnaby rozpocząć od pierwiastku, który objawia najmniejszą chęć łączenia się z tlenem, a za nim stawiać inne pierwiastki w miarę ich wzrastającej skłonności do tlenu, ostatnim pierwiastkiem w takim szeregu byłby potas, który jak wiadomo najchętniej łączy się z tlenem.

Przypuścmy, że taki szereg dałby się ściśle ułożyć, w takim razie mielibyśmy bardzo interesującą tablicę, któraby nam wskazywała rozmaite stopnie siły chemicznej, objawiającej się pomiędzy tlenem a innymi pierwiastkami.

Ale taka tablica nie da się ułożyć inaczej, jak tylko w przybliżeniu, gdyż skłonność chemiczna jakiegoś pierwiastku do tlenu zależy nie tylko od drzemiącej w nim siły przyciągającej ale i od warunków, w jakich dwie substancje stykają się ze sobą. Wyjaśnimy to sobie lepiej na przykładzie.

Na samym początku przypomnieliśmy, iż żelazo łatwo rdzewieje, to znaczy, łączy się, z tlenem. Każdy jednak wie z własnego doświadczenia, że rdzewienie odbywa się bardzo szybko w wilgotnym powietrzu, podczas gdy w powietrzu suchym nóż, albo inny przedmiot żelazny, mieszcami może leżeć i nie pokrywa się rdzą. Już stąd widzimy, że wilgoć powietrza wpływa bardzo na powiększenie siły przyciągającej między tlenem a żelazem.

Wiemy także, że w wielkim piecu można otrzymać czyste żelazo przez wypalenie węgla z rudą żelazną, gdyż tlen zawarty w rudzie w wysokiej temperaturze przechodzi do węgla. Ten fakt mógłby nas upoważnić do przekonania, że tlen ma większą skłonność do węgla, aniżeli do żelaza. Tak jednak nie jest, wpływają tutaj różne okoliczności.

Węgiel może latami leżeć na powietrzu i nie łączyć się z tlenem, podczas gdy kawałek żelaza rdzewieje bardzo prędko. Rozżarzmy jednak węgiel przez włożenie go do płomienia, a zacznie natychmiast łączyć się z tlenem powietrza i niebawem zniknie, zamieniwszy się na dwutlenek węgla.

Węgiel okazuje więc wielką pochopność do łączenia się z tlenem, ale pod warunkiem, że go ogrzejemy silnie. Potrzebuje on niejako podniety do łączenia się z tlenem bez której żelazo się obywa.

Ktoś skory do wyciągania pospiesznych wniosków mógłby wyobrazić sobie, że chemiczna siła przyciągania wzrasta wraz z temperaturą. A przecież w samym wielkim piecu gorąco wywiera skutek odwrotny, gdyż zmniejsza powinowactwo chemiczne żelaza względem tlenu, zamiast go powiększać.

Jak dalece chemiczna siła przyciągająca zależy od okoliczności, świadczy między innymi i ten fakt, że sproszkowany węgiel, złożony w duże kupy, czasami zapala się sam przez się, gdyż cząsteczki węgla przyciągają i zgęszczają w sobie tlen z powietrza. Mamy tu więc do czynienia ze zjawiskiem zgoła przeciwnym zachowaniu się zwykłego węgla, który, jak powiedzieliśmy, palić się zaczyna dopiero po ogrzaniu.

Takie porównanie zachowania się żelaza i węgla względem tlenu uwidoczniło, że trudnoby było ułożyć tablicę powinowactwa chemicznego tlenu z innymi pierwiastkami, gdyż siła tego powinowactwa zależy od wielu rozmaitych okoliczności.

Pomimo to nauka nie dała się odstraszyć znacznymi trudnościami i ułożono tablicę powinowactw chemicznych, która to tablica posiada bardzo wielkie znaczenie dla chemii.

Rozważając rozmaite okoliczności, w których zachodzą związki chemiczne, widzimy, że w pewnych warunkach drzemiąca skłonność chemiczna budzi się, jak nas o tem pouczają poniższe przykłady.

Wiemy, iż żelazo w wilgotnym powietrzu rdzewieje prędzej, aniżeli w suchym, to znaczy, że wilgoć służy za rodzaj pośrednika między powietrzem a żelazem. Działa

tedy nie tylko przyciąganie między pierwiastkami, ale i stan, w jakim te pierwiastki się znajdują.

Wiemy dalej, że węgiel wchłania w siebie rozmaite gazy, ale nie zawsze wchodzi z niemi w związki chemiczne; natomiast dość go zapalić, to znaczy ogrzać mocno, ażeby się zaczął łączyć szybko z tlenem powietrza. W tym wypadku wilgoć nie odgrywa żadnej roli, natomiast pośrednikiem jest gorąco.

W wielu wypadkach dla wywołania chemicznego połączenia się dwóch ciał trzeba jedno z nich przynajmniej wziąć w stanie płynnym. W innych znowu wypadkach chemiczne związki zachodzą łatwiej za ogrzaniem pierwiastków, a w innych jeszcze podniesienie temperatury wywołuje rozkład już istniejących związków.

Bardzo dziwnem jest działanie światła słonecznego na związki zawierające chlor, jod lub brom. Chlor ma własność niszczenia barwników, dlatego używają go do bieleńcia tkanin, do czego dawniej służyły promienie słoneczne. Wiemy na zasadzie nowszych badań, że światło słoneczne nie jest żadną materią wypływającą ze słońca, ale pewnym rodzajem, ruchu falistego; chcąc więc wytłomaczyć działanie światła na substancje chemiczne, trzeba przyjąć, że światło wprawia substancje w pewien szczególny stan, wywierający wpływ na chemiczną siłę. Jeszcze ciekawszym przykładem chemicznego działania światła jest fotografia, zasadzająca się na rozkładzie związków bromu i chloru ze srebrem pod działaniem promieni świetlnych.

Następujący przykład uczy nas, że chemiczne związki zachodzą niekiedy w bardzo niezwykłych warunkach.

Istnieją substancje, które wtedy tylko można skłonić do zawierania związków chemicznych, kiedy uwalniają się one z innych związków. Jeżeli w takiej chwili dany pierwiastkowi sposobność wejścia w związek, to korzysta on z niej skwapliwie. Pozostawiając atoli czas do namysłu takim pierwiastkom, widzimy, że tracą one ochotę do łączenia się chemicznego. Oto przykład:

Kwas azotowy składa się z tlenu i azotu. Tlen jest bardzo pochopny do wchodzenia w związki, ale za to azot zachowuje się bardzo obojętnie względem innych pierwiastków i to nasze szczęście, bo inaczej powietrze zamieniłoby się w kwas azotowy. Chcąc jednak otrzymać ten kwas, trzeba wyczekać chwili, kiedy azot opuszcza jakiś związek i podstawić mu tlen; wtedy łączy się on z tlenem bez trudności.

Występuje to jeszcze wyraźniej podczas tworzenia się amoniaku. Gaz ten składający się z wodoru i azotu powstaje tylko wówczas, gdy z jednej strony znajduje się wodór, opuszczający poprzedni związek z innym ciałem, z drugiej zaś taki sam azot. „Wypędzone” poszukujące świeżego towarzystwa gazy łączą się ze sobą bez wahania. I woda nie tworzy się wskutek pomieszczenia tlenu z wodorem. Powstaje ona za to w bardzo wielu chemicznych operacjach, jeżeli tlen spotyka się z wodorem natychmiast po zerwaniu jakiegoś związku.

W. U.

Z GRENLANDYI.



Jedna z największych wysp na kuli ziemskiej odkryta w 963 r. przez Irlandczyka nazwiskiem „Eryk Czerwony” leżąca na północy - wschodzie Ameryki, straciła obecnie wielce zasłużonego tam człowieka Larsa Melera, z pochodzenia Eskimosa. Był on jednym z tych do niedawna jeszcze dzikich krajowców, którzy w liczbie 10,000 dusz, zamieszkują południowo-zachodni brzeg

Grenlandyi, wschodni bowiem zmuszeni byli opuścić, dla wielkiej masy napływających tutaj lodowców. Cała zresztą wyspa pokryta nie ginącą wcale skorupą śniegu i lodu, nie była nigdy zamieszkała.

Eskimosi żyją tutaj, jak zresztą wszędzie, z rybołówstwa, polowania na foki, lub zwierzęta lądowe.

Lat 30 temu wylądował w Grenlandyi uczony podróżnik szwedzki Nordenskjöld, stojący na czele wyprawy naukowej, do bieguna północnego skierowanej.

Za przewodnika po tej śnieżnej pustyni wybrał sobie Larsa Melera. Młody, roztropny chłopak wywiązywał się z włożonych nań obowiązków nader dobrze, a że rok blisko wyprawa tutaj pozostała, przysłuchując się rozmowom wykształconych ludzi, nauczył się dużo. Oni zaś widząc jak łatwo się uczy i pojmuje, udzielali mu chętnie objaśnień, nauczyli czytać, dawali odpowiednie książki.

Tym sposobem nauczył się Lars wielu pożytecznych rzeczy, i zapragnął oświecać swoich współbraci.

W krótko też ułożył dla nich elementarz, wreszcie umyślił wydawać gazetę.

Nordenskjöld dostarczył mu w tym celu małej maszyny, farby, i wszystko co do druku potrzeba było. Lecz, że mało jeszcze Eskimosów czytać umiało, umieszczał w niej obrazki z krótkimi podpisami. Obrazki te sam rysował i wycinał na drzewie, odbijając je potem na papierze. Z początku rozdawał gazetę darmo, rozwołując ją sam na łyżwach, w końcu pobierał niewielką przedpłatę.

Zaciekawieni obrazkami Eskimosi uczyli się coraz chętniej czytać, a Meler rozwijał swoje wydawnictwo, sięjąc ziarno oświaty na urodzajnej glebie, gdyż dzisiaj nie ma Eskimosa w Grenlandyi, któryby czytać nie umiał. Obecnie kiedy Lars Meler spoczął na wieki, pod śniegami północy, gazetkę prowadzić będzie jeden z jego uczni, podając potomności zasłużone jego imię.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)

XXII.

Po rozmowie z panią Zabrzeską profesor udał się do kuchni, gdzie w białym kaftanie, przepasany białym fartuchem, w białej czapce na głowie, rządził i królował Sosiniecki, wielki arystokrata, który siebie zawsze nazywał „kucharzem

z kucharzy” i zdawało mu się, że ma ogromne znaczenie w społeczeństwie. Czytywał gazety, zajmował się polityką i nie mógł sobie dobrać żadnego towarzystwa w Suchowie. Uznawał, że lokaj, ogrodnik, ekonom byli mu równi położeniem i urzędem, ale co do rodziny... Familia Sosinieckich to było wcale co innego... Wmawiał to wszystkim otaczającym i do tych, którzy wedle jego pojęcia stali na niższym szczeblu drabiny społecznej, przemawiał wprost pogardliwymi wyrazami. Do Wojciecha odezwał się raz dobrotliwie:

— Co tam taki cham jak wy, Wojciechu, wiedzieć może?

— W tym wypadku trafiła kosa na kamień, stanęły wobec siebie dwie wygórowane dumy i dwie niezmierzone zarozumiałości. Powstała długa kłótnia, która się skończyła tem, że Sosiniecki nie znał najzupełniej Wojciecha i nie raczył nigdy do niego przemawiać, zaś Wojciech mówił o Sosinieckim: „pan hrabia.”

Profesor wszedłszy do kuchni przemówił grzecznie:

— Mam tu od pani Zabrzeskiej polecenie... Pani Zabrzaska prosi, żeby Sosiniecki przeniósł się do Wólki Suchowskiej, gdzie Sosiniecki będzie gotował dla panny Four i dzieci, zaś tu weźmiemy jaką kobietę...

Sosiniecki wyprostował się i przybrał taką minę, jak gdyby nie dobrze rozumiał, co do niego mówiono.

— Panna Four nie może jeść tego, co tam dla niej gotują — dodał profesor.

— Co? Ja mam iść gotować do Wólki Suchowskiej?

— Tak sobie życzy pani Zabrzaska.

— Jeszczem nigdy na folwarku nie gotował i gotować nie będę!

— Sosiniecki rozumie, że to tylko chwilowo, z powodu choroby...

— I mój ojciec i mój dziad i mój pradziad byli kucharzami z kucharzy i gotowali po dworach a nie po folwarkach. Ja jestem nie z byle jakiej rodziny i mój ojciec i mój dziad i mój pradziad mówili, że są nie z byle jakiej rodziny.

— Ja bynajmniej temu nie zaprzeczam — rzekł pojednawczo pan Chlewiatko — właśnie na to liczyłem, że taki kucharz z kucharzy... że taki człowiek... co rozumie... co się zna na polityce...

— Właśnie to mówię! Taki kucharz jak ja! Mnie panowie znają, mnie w Warszawie znają, a ja pójdę na folwark gotować?

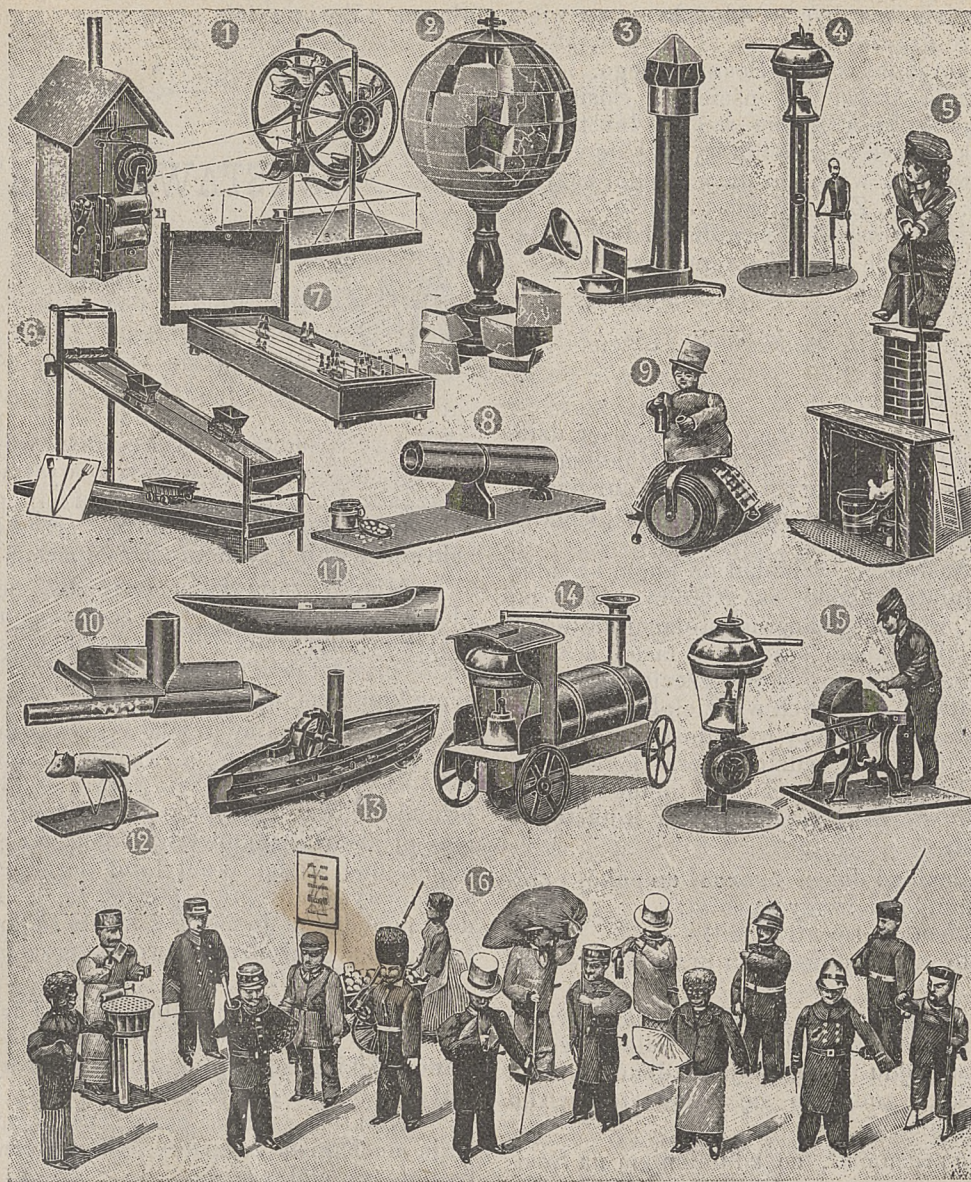
— W Warszawie Sosinieckiego znają a poznają i w Paryżu, jak o Sosinieckim panna Four napisze...

— Napisze do Paryża?

— Pewno napisze. Zresztą pani Zabrzaska taka nieśczęśliwa, w takiej rozpaczy... Trzeba biednej kobiecie



Pieniądze kamienne na wyspach Karolińskich.



Wystawa zabawek w Paryżu w 1901 roku.

łatwiać wszystko, co ułatwiać można. No, i tam gdzie Sosiniecki gotuje, tam nie jest byle jaka kuchnia... Tam gdzie król siądzie, tam jest zawsze pierwsze miejsce, choć y siadł na końcu stołu.

Sosiniecki wyprostował się i obejrzał dokoła, czy ziewka, jego pomocnica słyszała, jak do niego przemawiano.

— Pan profesor jest mądry człowiek — powiedział reszcie. — Tam, gdzie ja gotuję, to nie jest byle jaka kuchnia! Niech po mnie zajadą, a ja każę upakować rądle co potrzeba i będę gotował w Wólce Suchowskiej.

Cała rzecz zatem ułożyła się dzięki uprzejmości i dyplomacji pana Chlewiatki, który utraciwszy przez chwilę wiarę w to, iż w przebiegłości dorównywał Ulisesowi, teraz wiarę odzyskał na nowo.

Nazajutrz około dziesiątej rano, Michał zajechał wozką po Sosinieckiego. Miał go po drodze wysadzić w Wólce Suchowskiej a następnie jechać do doktora do Łociszewa. Fura wiozła za nimi rądle, formy i inne kuchenne naczynia. Sosiniecki uczył potrzebę usprawiedli-

wienia się przed Michałem z tego, że on, Sosiniecki, jechał gotować na folwarku, którego nikt dworem nazwać nie mógł.

— Ja, to mam taką naturę — mówił, — że ze mną złością nikt nic nie robi, a na dobre słowo, to się zaraz tak dam złapać, jak mysz na słoninę! Już ci dzieckoby to zrozumiało, że to nie dla mnie gotowanie na folwarku. Na taki folwark jak Wólka Suchowska, to lada baba dobra! Ale jak mię pan profesor zaczął prosić, jak zaczął molestować...

— A dla czegoż to na folwarku ma być gorsze gotowanie?

— Cóż to Michał takich rzeczy nie rozumie, czy co? To tak, jakby kto kazał Michałowi gnój wozić! Ja jestem kucharz z kucharzów i już teraz gazety francuskie o mnie piszą! Niech się Michał zapyta pana profesora! Myśniny od dziadów, pradziadów po dworach gotowali a nie po folwarkach!

Gdy się bryczka zatrzymała przed domem w Wólce Suchowskiej, Sosiniecki raczył wysiąść i spojrzawszy z pogardą na mały domek i otoczenie wcale nie pańskie,

przechodzącej dziewczki folwarcznej zapytał z wyższością i dumą:

— Gdzież tu ma być kuchnia?

— Nie wiem, gdzie ma być — odparła — ale wiem gdzie jest. Ot tu, w te drzwi.

— Otwórz! — zabrzmiał rozkaz Sosinieckiego.

Dziewka otworzyła drzwi na oścież a Sosiniecki wszedł z taką miną, jakby się nad nim wznosił łuk tryumfalny. Na jego widok okrzyk zdziwienia wyrwał się z czterech ust naraz, gdyż właśnie w tej chwili w kuchni znajdowały się cztery osoby: Zosia, Zdzis, Józio i Jańcio.

Był to piątek, więc po wspólnej naradzie dzieci postanowiły, że sporządzony będzie obiad następujący:

Zupa ze śliwek suszonych.

Kartofle pieczone i jajecznicca.

Fasola z sosem miodowym, zaprawionym octem.

Kluski z makiem.

Śmietanka bita z konfiturami.

Że Piotrowa obrażona gotować nie chciała, więc dzieci, pod przewodnictwem Zosi zajęte były wykonaniem zamierzonego obiadu, na myśl o którym panna Four najwyraźniej widziała pewien nagrobek z napisem: „Umarła z głodu z dala od ojczyzny.”

W chwili, gdy Sosiniecki wchodził do kuchni z miną zdobywcy, Zdzis zagniatał kluski na stolnicy, Józio bił trzepaczką śmietankę w dużej pokrywie, stojącej na lodzie przyniesionym w szafliku, Jańcio przebierał fasolę a Zosia pilnowała wszystkiego, i jednocześnie przecierała przez durszlag ugotowane śliwki, z których wydzielala się obficie para, pachnąca powidłami. Humory były doskonałe, Zdzis z Józiem spierali się o to, kto będzie ucierał mak z miodem i ułożyli się w końcu, że przez pięć minut walkiem w donicy mak będzie wiercony przez Zdzisia a następne pięć minut przez Józia.

Na widok Sosinieckiego dzieci ogarnął niepokój i złowrogie przecucie. Jańcio pierwszy zawołał:

— My sami będziemy gotowali obiad!

— Co się to stało, że Sosiniecki tu przyszedł? — zapytała Zosia.

Sosiniecki skłonił się dworsko i rzekł z niejaką urazą:

— Przyjechałem, nie przyszedłem. Wedle życzenia pani dziedziczki i ze względu na to, że jest zdenerwowana i w niepokoju o dziecko, zgodziłem się zająć stanowisko moje w Wólce Suchowskiej.

— Jańcio nic nie rozumiał, ze zdumieniem na Sosinieckiego spoglądał.

— A któż będzie gotował w Suchowie? — zawołała Zosia.

— Pani dziedziczka podobno nic nie je, pije tylko herbatę ze śmietanką.. panna Alusia żyje tylko mlekiem a pan profesor nie wie, co je i wszystko mu jedno, co mu dadzą. Przecie wiem!... Raz zrobiłem pengrzyb (pain de gibier) tak, że palce lizać, a on krajał w dwie kromki i zdawało mu się, że je chleb razowy!

Dziecinne ręce opadły. Widziały, że musiały ustąpić z kuchni, że wszystkie projekta gotowania przeróżnych potraw na własną rękę upadały wobec pana Sosinieckiego, przychodzącego zająć *swoje stanowisko*.

Wszystkim czworgu, nawet Zosi, zdawało się, że zostają wypędzone z raju. Przepadło wiercenie maku, bicie śmietanki, zagniatanie na stolnicy klusek! Te roboty były takie zajmujące a trzeba było ich się wyrzec! Jańcio najdłużej się upierał przy myśli gotowania obiadów i kolacyi. Zdawało mu się, iż nikt tak dobrze jak on fasoli przebrać nie jest w stanie. Gotował on nieraz obiadek, podwieczorki i kolacje dla lalek, drobił kluseczki z papieru, wypiekał śliczne babki z piasku. W ogóle lubił bardzo bawić się w kucharza, to też gdy się przypadkiem zdarzyła sposobność gotowania na prawdę, w prawdziwej kuchni, prawdziwego obiadu, nie mógł się pogodzić z myślą opuszczenia owej sposobności. Ujrawszy, że dzieci wychodzą, zostawiając resztę roboty Sosinieckiemu i pomocnicy, Jańcio

nastroił smutną minkę, przeciągającą się coraz bardziej. W końcu panowanie dłuższe nad sobą stało mu się niepodobnym i żal jego wybuchnął nagle we łzach i głośnym płaczu. Zosia wzięła go na ręce i wyniosła z kuchni.

(d. c. n.)

WYSTAWA ZABAWEK.



Paryżu, między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem jest zwyczaj ustawiać na bulwarach straganiki i budki z zabawkami. Tam ukazują się różne różności, pomysłu i wykonania paryskich rzemieślników.

W ostatnich latach zmniejszyła się liczba nowych wynalazków, więc prefekt policji dla zachęty urządził wystawę tanich zabawek i nazaczył nagrody pieniężne na najlepsze pomysły.

Ciekawa to była wystawa: przeszło siedmset okazów, zebrano w sali Trybunału Handlowego.

Między zabawkami wyróżnia się geograficzna łami-główka, globus złożony z sześćdziesięciu czterech kawałków (patrz ryc. 2.) Obok, (nr. 1) stoi maleńki elektryczny motor. nr. 5 przedstawia małego kominiarza, który zamiast sady sypie kominem cukierki.

Za mało mamy miejsca na opisanie wszystkich zabawek przedstawionych na załączonym obrazku: chcemy więc zwrócić tylko uwagę czytelników na niektóre z nich najwybitniejsze: nr. 7, nazwany regatami, składa się z maleńkiej flotyli żaglowych łódek, na podłużnej podstawie napełnionej wodą. Wentylator poruszany za pociągnięciem kółka, wywołuje prąd powietrza, który dmąc w żagle łódek, popędza je do mety, a każda łódka płynie prosto, własną drogą, ogrodzoną dwoma przeciągniętymi z boków sznureczkami.

Bardzo dowcipnie obmyślona i urządzona jest zabawka nr. 6. Winda dźwiga w górę wiadro piasku, a naładowane wózki zjeżdżają po pochyłości i wyrzucają same automatycznie swój ładunek.

Niektóre zabawki poruszają się za pomocą pary: inne mają mechanizm zegarowy, albo wprawia je w ruch maleńka bateria elektryczna.

Na samym dole rysunku, pod nr. 16 zebrał się cały tłum rozlicznych figurek. Jedne z nich chodzą, inne przekładają karabin, lub potrząsają kijem. Przekupka toczy przed sobą taczki, żołnierz salutuje, szynkarz odkorkowuje butelkę.

Kto wie, jakie były zabawki dziecinne przed trzydziestu laty i porówna je z dzisiejszemi, ten dopiero może osądzić, ile trzeba umieć i ile mieć zręczności dla wykonania nawet takich drobnostek. Wielką wdzięczność powinny mieć dzieci dla rzemieślników, którzy nie żalują trudu, i spracowanymi rękami budują śliczne rzeczy dla rozrywki młodego pokolenia.

* * *

Wzorem tych wystaw paryskich w tym roku, w połowie października ma być urządzona w Warszawie na cel dobroczynny wystawa gier i zabawek, wyrabianych w kraju. Zapewne nasi rzemieślnicy wystawią rzeczy godne widzenia i nabywania, choćby nie dorównywały paryskim. My zaś proponujemy naszym czytelnikom, czyby nie zechciały wziąć także udziału, w wystawie *nadsyłając na przykład, lalki ubrane przez siebie w stroje ludowe okolic, w których zamieszkują*. Pożądana jest jak największa dokładność, bez żadnych zmian ani upiększeń. Czytelnicy nasze, którym ta myśl trafi do przekonania, niech zechcą przesłać do redakcyi „Wieczorów” przed 1 października, (z dołączeniem imienia, nazwiska i adresu), a redakcyja poda je na wystawę.

Czasu jest dosyć, zajęcie miłe a więc do roboty.

Oprócz tego Zarząd Wystawy zwraca się z prośbą do działwy naszej o nadsyłanie za zgodą rodziców niepotrzebnych, a w dobrym stanie jeszcze będących zabawek, celem sprzedaży ich na wystawie na rzecz Towarzystwa Opieki nad chorymi. Zabawki takie, które umieszczone będą w oddzielnym kiosku, nadsyłać należy do członka komitetu wystawy, p. F. Karpińskiego, ulica Elektoralna Nr. 35 lub do redakcyi „Wieczorów”.

Mamy nadzieję, że obie te propozycye będą miały powodzenie.

Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

U Jezus, Marya, Józef! — krzyknął Tomasz, podnosząc siekiere. Chciał zasłonić żonę, która przypadła do męża, żeby go bronić od Bugra. Grażela nie zdążył odbić ciosu, nim się zamachnął i spuścił żelazo, już Sęp utopił dziryt w piersiach starej kobiety i zwrócił broń przeciw Tomaszowi. Byłby powalił obywatelnego żalem chłopca, gdyby nie Stefan, który wyrwał Grażeli siekiere z rąk i strzaskął nią dziryt Sępa, ale Indyanin chwycił ślusarczyka za gardło i dusił w kościstych jak szpony palcach. Szczęściem, Jasiek flecista nietylko na piszczałce przygrywać umiał. Jasiek spostrzegł niebezpieczeństwo grażące panu Lutemu, splunął w garść, jak czynić zwykł każdy rzetelny chłop, kiedy się ma zmierzyć z tęgim zwierzem, i rąbnął siekiere po żyłastych ramionach Sępa. Zachwiał się Burung, zatoczył błędnym wzrokiem dokoła i wypuścił ofiarę z krogulczych uścisków. Stefan nie słyszał krzyku Suyi, który w tej samej chwili rozdarł powietrze. Myślał o własnej obronie. Kolba fuzyi grzmotnęła Sępa po głowie, a nie czekając aż Indyanin opamiętać się zdoła, zarzucił na niego uzdiennicę, którą niósł, żeby osiodłać konia.

Szarpał się wódz, ranny i ogłuszony próbował walczyć jeszcze, ale Jasiek podbił mu nogi drzewem siekiery i we dwóch z Stefanem skrępowali szamocącego się Sępa. Czas był też już wielki skończyć z jeńcem. Od lasu pędziła na gromadę kolonistów chmura czerwonoskórnych Indyan.

— Rozbiedz się, walczyć w pojedynkę, bronić baraków — krzyczał Stefan, który zrozumiał, że zbity w kupę gromada odniesie niezawodną klęskę. Jakoż dzicy wypuścili pierwsze strzały, szczęściem tłum wychodźców cofnął się już ku domostwom, więc pociski nie przyniosły wielkiej szkody. Dwie dziewczyny odniosły jednak rany, ranny był także Karol Wiecha, który mężnie potykał się w obronie Zasi Skowronczanki. Jej to powierzył Stefan opiekę nad szpitalem, utworzonym pospiesznie w szopie. Należało wyssać rany z okaleczeń i obłożyć je korzeniem rośliny jaszczurczej (herwa de lagerta). Pełniła więc Kasia obowiązki siostry miłosierdzia a nie brakło zajęcia, bo walka wrzała na całej linii. Indyanie byli zdziwieni postępowaniem wodza, który wyskoczył pierwszy z lasu i nie wydał zwykłych rozkazów.

To wstrzymało impet ich ataku, uwięzienie Sępa sparaliżowało do reszty ruchy nieprzyjaciela. Byłby on może poszedł w rozsypkę, nie uczyniwszy wielkiej szkody gdyby nie zuchwały Waika. Waika kochał Sępa, chciał go pomścić, zebrał około siebie garść najwaleczniejszych i biegł ku barakom, ale Stefan w porę spostrzegł niebezpieczeństwo grożące budynkom. Wziął na cel pioropusz wodza, wymierzył, wystrzelił, Waika upadł na ziemię a jego wojsko z krzykiem wróciło do lasu.

Wielkie to było szczęście, że udało się Stefanowi odwrócić atak od baraków, bo nie mógł bronić ich dłużej spostrzegłszy niebezpieczeństwo grożące Tomaszowi. Tomasz nie ruszył się dotąd od trupa żony. Próżno nacierała nań Indyanie, chłop obtarł rękawem sukmany łyzy cisnące mu się do oczu i chwyciwszy oburącz siekiere, opędzał się dwóm napastnikom, broniąc im przystępu do ciała kobiety, którą obedrzeć chcieli. Ale Burung nie łatwo odstępuje zdobyczy, zwłaszcza gdy ta zdobycz ma być świadectwem jego bohaterskich czynów. Gwizdnął Makusi, gdyż on to nacierał na Tomasza, i trzech czerwonoskórych wojowników napadło Grażelę z tyłu.

Darmo opędza się stary wiarus, darmo podwaja razy, obalił wprawdzie jednego Burunga, zranił Makusiego, ale dziryt przeorał mu bok a palec drugiego Burunga wpiły mu się w gardło.

I byłby zginął Grażela przewodnik gromady, on który opowiadał mi i pieśnią krzepił ducha zwątpiających, byłby zginął niezawodnie, gdyby nie Stefan Luty. Spostrzegł niebezpieczeństwo grożące Tomaszowi i zadrżał o jego życie. Kula mogła trafić tego, którego pragnął ocalić, nie strzelał więc, biegł z podniesioną w górę fuzyą, a w ślad za nim dążyli Jasiek flecista i Stach Kobiela, najśmielszy między parobkami po Wojciechu Skibie. Makusi przestał nastawać na zdobycę po Tomaszowej. Spostrzegł Sępa i pospieszył mu z pomocą.

Sęp leżał skrępowany na ziemi, pilnowało go dwóch kolonistów uzbrojonych w siekiery, ale Makusi obalił starszego parobka, młodszego zaś ranił toporem. Chciał już zrywać więzy krępujące wodza, kiedy schwyła go za rękę Rózia Grażelówna, a siostra jej Antoszka drzewem motyki zadała Indyaninowi potężny raz w głowę.

— Masz poganinie za naszą matysię, masz, masz, masz! — krzyczała okładając kijem Burunga. Rozpacz zdwajała jej siły, próżno też Sęp rzucił się w więzach, stróżujący parobcy odzyskali przytomność i zawstydzeni dzielnością dziewczuch, zasłonili je przed gniewem Makusiego.

Makusi stał bezbronny, bo kościany dziryt jego włóczył się przy pierwszym natarciu. Słusznie zwano go chytrym. Pochylił się, udając, że upada i porwał kamienny topór, który Sęp miał zatknięty za sznur lian, opasujących biodra.

Świsnęła broń w rękach Indyanina, topór przeleciał ponad głową związanego wodza i byłby zabił Antoszkę, dziewczyna uchyliła się jednak w porę, a Rózia zarzuciła na Makusiego worek, w który składała mandjokowe łodygi. Szarpnął się Burung, ryknął z gniewu, zdał płótno zasłaniające mu oczy i nie próbując dalszej walki uciekł do lasu.

Cofnięcie się Makusiego i śmierć Waiki rzuciło popłoch między Indyanami, kilku tylko najśmielszych dopadło baraków i kuźni. Baraków strzegł Tomasz, który przeniósł do nich ciało zabitej żony, przybiegły mu z pomocą córki, przybiegł Stach i Jasiek, było więc komu bronić domostwa, ale kuźnia stała na uboczu, nie pilnował jej nikt.

— W kuźni został Leon! pomyślał Stefan i spieszył na pomoc Ziemniakowi. Dwóch Burungów wyskoczyło w tej samej chwili przez okno budynku. Potrząsali zarzuceni się głowniami, na dachu błysnęły ogniste języki płomienia.

— Leon! Leon! krzyczał Stefek i niepomyślnie na własne bezpieczeństwo, zniknął pod płonąca strzechą.

— Leon! Leon! — powtórzył zdławionym od dymu głosem. Nikt nie odpowiadał na jego wołanie, trzeszczały tylko deski pułapu, bo ogień zaczął ogarniać strop. Stefan chciał już zaprzestać daremnych poszukiwań, kiedy usłyszał jęk wydobywający się z za kowadła.

— Nie zabiłem! nie zabiłem! Dlaczego źli przyszli po moją duszę — skarżył się Leon.

Nieprzytomny ze strachu, siedział skurczony w samym kącie kuźni i nie poznawał nawet Stefana.

— Przyszli po moją duszę — szeptał wskazując Indian uganiających się po polu.

Stefan schwycił szamocącego się Leona i wybiegł z nim przed kuźnię.

— Potrzebna też mitrega z głupim Nesabilem — do brze, że pan Luty życia nie postradał — gorszył się Stach Kobielał, który przybiegł na pomoc Stefanowi.

— Zawsze warto dać ratunek nieszcześnieśliwemu — odpowiedział ślusarczyk i widząc, że ogień z kuźni ogarnąć może baraki, odprowadził Leona do szpitala pod opiekę Kasi. Płomień pokazał się istotnie na dachu domostwa. Czy wiatr zaniósł iskrę, czy Indianie, uciekający z pola bitwy, rzucili głównie na wyschłe sitowie strzechy, dość że niebezpieczeństwo pożaru dopełniło miary nieszczęścia.

Ze wszystkich stron biegli koloniści ratować dobytek zamknięty w baraku nawet stróżę pilnujący Sępa znaleźli się przy ogniu. Obok jeńca stała płakana i drżąca Suya.

Dlaczego teraz dopiero przyszła do ojca, dlaczego nie starała się wprzód ratować go od śmierci?

Dlaczego? bo Suya zasłuchana w śpiewie kolonistów zapomniała na chwilę o groźnym niebezpieczeństwie. Przytem walkę rozpoczęto tak nagle. Widziała po raz pierwszy krew tryskającą pod uderzeniami siekiery.

— Białe twarze zabijają ojca! — krzyknęła. Chciała biec na pomoc Sępowi, ale straciła przytomność. Leżała pomiędzy zielonemi gałęziami, jak przyczepiona do nich pstra gąsiennica. Świadomość wróciła Suiy wtedy dopiero, kiedy Stefan spostrzegł Indian, gospodarujących między budynkami osady.

(d. c. n.)

Pieniądże kamienne na wyspach Karolińskich.

Wiemy, że ludzie wymyślili pieniądze dla ułatwienia wzajemnej wymiany potrzebnych rzeczy. Różne ludy używały dawniej zamiast pieniędzy różnych przedmiotów, rzeczywistą wartość mających. Narody myśliwskie używały skór zwierzęcych, narody pasterskie — i trzód. Później dopiero, przy wielkim rozwoju cywilizacji, zaczęto wyrabiać pieniądze z kruszców, najpierw z żelaza i miedzi, potem ze srebra i złota. Otóż u mieszkańców wysp Karolińskich jako znaki zamienne w handlu służyły kamienie, mające wielką wartość z powodu małej ich ilości na wyspach, potrzebne zaś były przy budowaniu fundamentów pod drewniane domki mieszkańców. Stąd kamienie stosownie do wielkości nabierały tam znacznej ceny, a dla łatwiejszego ich przenoszenia, nadawano im kształt okrągły, z małym w środku otworem. Teraz na wyspach Karolińskich obiega już moneta metaliczna, kamienie zaś należą do ciekawych zabytków przeszłości.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze trzecie, to rzeka, co bieg wód swych rączy
Będąc dopływem Wolgi, z jej korytem łączy.
Drugie strzeże i domu porządkiem się trudzi,
A jako duch niebieski trwa przy boku ludzi.
Wszystko wraz to roślina, która co rok w lecie,
Rozwija swoje skromne, lecz nadobne kwiecie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Szarady: Pa — ra — da.

Łamigłówki kropkowanej:

Przy nim młoda niewiasta, czemuż kiedy młoda,
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone i żałobne szaty,
A w twarzy smutek, czoło co schyla w cichości,
Którego całym blaskiem — uśmiech cierpliwości.
Lub jeśli kiedy nagle w pośród gęstych cieni,
Jaka myśl, czy pamiątka jej lica zrumieni,
To tak mdłem, bladym światłem, jak gdy księżyc w pełni,
Niezwyczajem życiem rysy posągu napelni.

(z „Maryi” Malczewskiego).



NASZE PIĘŚNI

60
śpiewów naj-
ulubieńszych z to-
warzyszeniem fortepia-
nu.

Cena 90 kop., pocztą rub. 1.

Wydawnictwo M. Arcta,
Warszawa, Nowy-Świat Nr. 53.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

TREŚĆ: Z wycieczek wakacyjnych (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Z Grenlandyi (z ryc.) — W Sł chowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Wystawa zabawek (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pieniądże kamienne na wyspach Karolińskich (z ryc.) — Łamigłówka i rozwiązanie. — Dodatek: Bocian i lis (bajka) (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho. — Chciałbym. — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.



BOCIAN I LIS,

(BAJKA).

Nie wiem z jakiej przyczyny,
Bocian do lisa przybył w odwiedzin.
Lis skąpiec siedział właśnie przy obiedzie.
— Oto gość! — chytrze powiada —
— W porę przychodzisz, sąsiedzie,
Możesz głodny? Czem chata bogata, tem rada. —
To rzekłszy, leje na płaskie talerze,
Rzadką polewkę i gościa częstuje.
Ale bocian napróżno do jadła się bierze,
I w swój talerz jak dzięcioł, długim dziobem kuje:

Nie wykuł ani kropli. Lis żłopie co siły.
Żałuje, że gość luby nie ma apetytu.
— Nie głodnym—rzecze bocian;—lecz sąsiedzie miły,
Jutro, jeżeli łaska, przyjdź na obiad do mnie.
Lis machnął kitą: — Zbyt wiele zaszczytu,
(Rzecz, mrużąc oczy skromnie),
Stawię się niezawodnie. — Pościł przez dzień cały,
I obiadowej doczekawszy pory.
Nadchodzi wielce zgłodniały.

(d n.)

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

17. Poszukiwanie dziadka.

Już od tygodnia dziadka nie widziałem. Smutno mi za nim. Pytałem w sklepiku, gdzie staruszek nieraz chleb kupował, odpowiedziano mi, że już ze dwa tygodnie nie wstępował do nich.

Co się mogło stać, mój Boże! Może gdzie upadł, skaleczył się i chodzić nie może. I gdzie go szukać, gdy biedak nie ma swego mieszkania.

Tak mi tęskno było za staruszką, że nie miałem

ochoty ani stawom, ani kałużom się przyglądać. Wróciłem do domu.

— Co się stało — pyta mama, — że tak wcześniej przyszedłeś!

— Moja mamusiu, mam wielkie zmartwienie, dziadek, o którym mamie opowiadałem, zginął; zupełnie zginął, bo już od kilkunastu dni nikt go nie widział. Mamo, co się z nim stać mogło? Tak się przywiązałem do niego, był moim najlepszym przyjacielem; taki był dobry, taki dobry dla wszystkich. Widziałem, jak razu jednego zgłodniały jadł suchy chleb, a wtem zbliża się do niego pies jakiś, wychudzony, wynędzniały, z zapadniętymi bokami. Starzec dzieli swój chleb i daje psu, powiadając:

masz psino, tyś też żebrak, nie masz też domu, ani obiadu, niech ci będzie na zdrowie.

Mamo droga, on był taki szlachetny, taki delikatny, troskliwy, gdzie się on podział?

— Nie wiesz, jak się nazywał — pyta mama.

— Wiem, Szymon Mruczek, pamiętam doskonale.

— Zaczekaj dziecko na ojca, a gdy wróci, to się naradzimy, gdzie szukać staruszka.

Niedługo i ojciec przyszedł. Przy obiedzie rozmowa była tylko o dziadku. Tatuś nie zna go, ale powiedział, że pojedzie ze mną do domów noclegowych, może się tam o nim co dowie.

Tak się też stało. Niedługo byliśmy już przy „Domu noclegowym.” Kilka dużych pokoi, przy ścianie drewniane ławki, które na dzień podnoszą do góry. Biedacy, którzy nie mają własnego mieszkania, przychodzą tu na noc, płacą parę groszy i za to wolno im jest prześpać się na owym drewnianym łóżku. Nie dostają oni ani poduszki, ani kołdry, każdy więc kładzie pod głowę część swego ubrania.

Pomyślałem sobie — jak to musi być niewygodnie! I mój biedny staruszek tak sypiał!

Po długich poszukiwaniach w kilku domach noclegowych, powiedziano nam nareszcie, że Szymon Mruczek rzeczywiście przychodził na nocleg, ale że pewnej nocy zasnął i został odwieziony do szpitala Dzieciątka Jezus. Jakby mnie kto sztyletem przeszył na taką wieść. Może on już nie żyje!

Tymczasem ojciec odwiózł mnie do domu, a sam pojechał do szpitala, dowiedzieć się co się z dziadkiem stało.

CHCIAŁBYM.

Chciałbym nie uczyć się wcale — mówił z westchnieniem Wacio. — Gdybym żył za czasów Bolesława Chrobrego, nie chodziłbym do szkoły a robiłbym tylko to, co by mi się spodało.

I rzekłszy to, chłopiec rozłożył się znudzony w fotelu.

— A ja życzyłabym sobie — odpowiedziała siostrzyczka Zosia — iżbyś nie plótł niedorzeczności, zabrał się do pracy a mnie nie przeszkadzał w uczeniu się geografii.

— Geografia! Nienawidzę jej. Chciałbym, iżby Krysztof Kolumb nie był nigdy odkrył Ameryki, bo tym sposobem mielibyśmy mniej do nauki. Niemądry człowiek mógł...

— Tracisz czas tylko z twojemi „chciałbym” — przerwała mu siostra. Chcesz, czy nie chcesz, musisz się uczyć zadanej historii, a im prędzej zaczniesz, tem lepiej.

— Znowu zrzedzisz! Gdybym żył za Bolesława Chrobrego, nie potrzebowałbym się uczyć historii. Czemuż nie żyłem przed tysiącem lat, lub przynajmniej czemu nie urodziłem się w dzikich krajach, gdzie niczego nie uczą.

— Powinienbyś dziękować Bogu — odparła, śmiejąc się Zosia, — że urodziłeś się teraz a nie przed dziesięciu wiekami; miałbyś nie mało wtedy do zniesienia przykrości.

I to rzekłszy, rozsądna dziewczynka zabrała książki i wyszła z pokoju.

Wacio siedząc w fotelu i bujając nogami, ubolewał ciągle nad losem swoim, gdy naraz posłyszał, że go ojciec woła do siebie. Chłopiec stawiał się niechętnie, bo wstydził się, że ojciec słyszał może jego rozmowę z siostrą.

— Podaj mi Waciu tom Historii Powszechnej z obrazkami — rzekł ojciec — muszę ci coś pokazać.

Wacio uradowany był rozkazem ojca, lubił z nim oglądać ryciny.

Ojciec pokazał chłopcu obrazek, na którym okrutny jakiś człowiek trzymał za rękę i za nogę wrywające mu się dziecko. Stali przed nędzną chatą, pokrytą słomianym dachem, na który oczy dziecka zwrócone były z przerażeniem. Gromada ludzi dokoła zdawała śmiać się z bojaźni małego dziecka.

— Co on chce robić z tym chłopcem? — zapytał Wacio.

— To jego ojciec, który zamierza rzucić go na dach; jeśli chłopiec zdoła się uchwycić słomianego wiązania i uchronić od upadku, będzie uznany za zasługującego na dalszą opiekę, w przeciwnym razie, jeśli upadnie i skaleczy się, zostanie wypędzony z domu i musi sobie szukać schronienia i pożywienia. Może z głodu umrzeć, lub być pożartym przez wilki, nikt o niego nie zatroszczy się i nikt go nie przygarnie.

— Dlaczego jego ojciec tak okrutnie z nim się obchodzi? — zapytał Wacio.

— Bo chłopcy w dawnych czasach nie chodzili do szkoły, tylko uczyli się znosić srogie nieraz obojęcie.

Wacio zawstydzony nic nie odpowiedział.

— Teraz pomówimy o Kafrach w Afryce — rzekł ojciec. — Czy widzisz tych chłopców tak niemiłosiernie biczowanych?

— Widzę — zawołał Wacio, dreszczem wstrząśnięty — twardey rzemień przecina im skórę, a krew strumieniem płynie po plecach. Odwróć prędko ojczyste kartę; przykro patrzeć na taką katuszę biednych dzieci.

— Masz słuszność, to okrutne jednak obojęcie stanowi u Kafrów system wychowania. Biczowanie owe nie jest karą, ale zahartowaniem do bólu. Każdy chłopiec musi tam przejść tak zwaną „benquera,” zasadzającą się na razach rzemieniem zadawanych i różnych ciężkich ćwiczeniach ciała. Ale dość już tego, odnieś książkę na miejsce.

— Rozumiem, ojczyste, dlaczego pokazywałaś mi te obrazki; przyrzekam, nigdy więcej nie narzekać na potrzebę uczenia się lekcyi. Wolę żyć tutaj i chodzić do szkoły, niżeli znosić ciężką dolę chłopca w dawnych wiekach, lub małego Kafrę w Afryce.



Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Kulim zamyślił się. Jak on źle sądził tę dziewczynę, podejrzewał ją o jakieś przywiązanie dla wykradzonego dziecka, a tymczasem pokazuje się, że Mira jest tą dawną despotyczną Mirą, ale niczem więcej! Pobawiła się małą, jak lalką, ulubionym pieskiem lub ptaszkiem, znudziła się już, chętnie zrzeka się roli opiekunki dziecka, dziś sama pragnie powodzenia! Ależ to świetna myśl wystawienia „Śnieżki,” komplet jest doborowy, Mira gdy zechce, umie być zachwycającą królowną, a przede wszystkim pewne jest powodzenie, gdy tymczasem, to nieznośne małeństwo gotowe się istotnie rozbeczeć i cóż wtedy robić! Zamyślił się. Dziewczyna nielada klin zabiła mu w głowę.

Wybiegła jak sarna promienna i uszczęśliwiona — przed namiotami poczęła się bawić rzucaniem złoconych kul. Miała ich w ręku dziesięć, migwały w powietrzu, jak meteory, podrzucane wprawną ręką, żadna nie upadła na ziemię!

Śmieje się, biega z pustotą lat piętnastu, śpiewa, płata różne figle dzieciom, dokazuje, jak nie dokazywała dawniej!

I tak sobą zajęta, nie widzi nic, i nie pyta wcale o małą Nelly, gdzie jest i co się z nią robi. Wzięli ją pewnie od rana do sali ćwiczeń, to i cóż, musi się nareszcie wyuczyć. Wszystkich potrochu zdumiewa, bo co prawda, wszyscy odzwyczaili się już od wesołości Miry. Od czasu wykradzenia małej dziewczynki, którą przyniosła pod chustką, spoważniała i zrobiła się tak cicha, jakby jej naraz mówę kto odjął.

Cóż się to stało i co wpłynęło na to rozweselenie? Najwięcej jednak podskoki jej, śmiech pusty, wesołe żarty, figle i piosenki zdumiewają Wojtaszka. Nie widział jej nigdy taką, patrzy szeroko otwartymi oczami. Co jej się stało, czego się tak cieszy i śmieje? Przecież to dziś właśnie jej ukochana pieszczotka poszła pierwszy raz sama z Czardajem na lekcye łamańców, słyhać jeszcze jej płacz rzewny, czemu Mira do niej nie biegnie, czy nie słyszy?

Podchodzi więc i szepce:

— Miro, wzięli małą do nauki, czy nie słyszysz, ona płacze, wzywa cię.

Odrząciła go, a zakrywając oczy, odbiegła daleko, mówiąc:

— Nie, nie, nie słyszę, nic nie chcę i nie mogę słyszeć, rozumiesz, odejdz ode mnie, odejdz zaraz.

Odszedł lecz gwiewnie spojrzął na dziewczynę.

— Zwyczajnie, cyganka, linoskoczka, komedyantka — pomyślał — a ja sądziłem, że ona dobra, że kocha małą. Dobrze, że jej się nie zwierzył, że mam ochotę uciec, pewnie by mnie wydała.

Wrócił do namiotu, a później poszedł uprzątnąć scenę.

Czardaj z Kulimem i Haglem długo się naradzali dnia tego. — Stary uśmiechał się z zadowoleniem, słucha-

jąc przedstawień współnika, a brzydka jego twarz zdawała się mówić:

— A co, widzicie, Mira to nieodrodna córka swego ojca, ona zna się na interesie. Bawiła ją czas jakiś rola opiekunki, ale, bo to jeszcze takie młode, ma swoje upodobania, gusta, ale w gruncie rzeczy to znakomita komedyantka.

Wynik rozmowy był taki, że postanowiono uczynić zadość prośbie Miry i zaraz następnego dnia na afiszach czytano:

„Znana z czarującej urody, sławna w całej Europie panna Mira, wystąpi w „Śnieżce” w roli królowej.” Na zakończenie dana będzie ciekawa pantomina i tryumfalny pochód tresowanych zwierząt.

Mira promieniała. Teraz już uśmiech z ust jej nie schodził, cały dzień biegła to tu, to tam, a tak była roz-targniona, czy zamyślona o swych tryumfach, że jedną i tę samą rzecz dwa razy brała do ręki i nie wiedziała, co z nią robić. Pakowała coś w jakiś skórzany woreczek i chowała go starannie.

— Miro, Miro, chodź do małej Nelly — namawiał ją kilka razy Wojtaszek — jeść nic nie chce, ciągle cię przywołuje, idź, pokaż jej się choć na sekundę, uspokój biedactwo.

— Nie Ralfie, nie mogę, nie mam czasu, idź ty do niej, jestem zajęta.

Ręce jej drżały, odwracała głowę.

Po południu odbyła próbę; świetnie grała rolę królowej.

Tylko w dekoracjach znalazła duże braki; zmarszczyła brwi z niezadowoleniem. Czemu nie przygotowano sztucznego śniegu, którym należało pokryć drzewa, krzaki, ziemię i jej ubranie? Jakto, ma przedstawiać śnieżkę bez śniegu?

Zapomniano przywieźć go z Pesztu, a w miasteczku nie można dostać.

— To i cóż będzie, zima bez śniegu, bez szronu, błyszczącego tak wspaniale? Przecież wszystko polega na sztucznym blasku.

— No, tak, rzecz wiadoma — odparł Czardaj — lecz bez nich obejść się będzie musiało.

— Obejść się? O nie, wszystko być musi tak, jak bywało w Wiedniu, Berlinie, Peszcie. Gdy ona występuje, nie powinno być braków!

— Lecz tym razem będą, — przekonywał ją Czardaj — zastąpimy go, rzucając z boku blade niebieskie światło na drzewa i krzewy, widzowie małowiaściznowi nie bywają tak wymagający i nie poznają się na tem, zobaczysz, dadzą ci brawo i wszyscy będą zadowoleni.

— Ale ja nie będę, i jeśli nie postaracie się o śnieg i wszystko co potrzeba, grać nie będę! Czy słyszycie, to mój warunek konieczny; ogłoszenia porozlepiane, jeśli je cofnicie, lub zastąpicie innem przedstawieniem, zrzucicie więcej publiczność, niż pierwszym niepowodzeniem; gdy wystąpię w całym przepychu i okazałości, naprawię zło, a co więcej napełnię puste wasze kieszenie złotem.

Kulim zagryzł usta.

— Co ona wyrabia, ta czarna Mira? Czy naprawdę zaczyna rządzić nietylko ojcem, ale i nim?

Rozumieli dobrze, że sztuka polegała na efektach, ale cóż na to poradzić, co robić?

— Co robić? Do przedstawienia jeszcze dużo czasu, bo doba cała, niech Hagieli z Kulimem jadą do Presburga. Dziennie pociągów idzie kilka, niech wsiądą na pierwszy, załatwią prędko i wrócą około południa. Musi być śnieg, muszę mieć gwiazdę brylantową nad czołem, muszą być sztuczne ognie, bo chcę być chwaloną, chcę oklasków!

Kulimowi coś mignęło w oczach, jakby podejrzenie.

— Tak nami rozporządziłaś, królowo Śnieżko, a ojca gdzie wyślesz?

(d. c. n.)

ZAGADKA.

E. L.

Tam, gdzie zawsze pełno ludzi,
Żaden głos mnie nie przebudzi.
Lecz w miejscu pustem odrazu,
Ozwe się wedle rozkazu.

ŁAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.

Podolanka dla Wołyńkianki.

7	m	d	y	t	a	
2	n	e	d	w	i	g
4	o	r	e	l	a	
2	a	n	a	p	a	
4	a	n	i	a	a	
6	k	o	l	a	n	d

Imię niewiasty biblijnej.

Imię męskie.

Owoc.

Sprzęt domowy.

Imię żeńskie.

Bohater z czasów Karola Wielkiego.

Ułożyć wyrazy sześćogłoskowe, aby litery oznaczone liczbami utworzyły nazwisko postaci z pow. Sienkiewicza „Krzyżacy”. Sylaby: d — dwik — ja — ja — ka — m — land — m — no — na — ni — na — pa — re — ro — ta

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

przez Czesława S. dla Lilci N.

Z następujących sylab; a — chaz — ry — gon — hy — i — ki — ka — lów — mo — skiar — trad — za — ułożyć 6 wyrazów, których początkowe, oraz końcowe litery złożony powinny nazwy rzeki w Anglii i Rosji.

Znaczenie wyrazów: 1) Zaraźliwa choroba. 2) Król Judzki, syn Joatama. 3) Miasto nad Dniestrem. 4) Małe częściczki ognia. 5) Długi kawałek ziemi. 5) Część świata.

ROZWIĄZANIA DO Nru 30-go.

Zagadki: 1) Kos — sok. 2) Rów — wór.

Zadania literowego:

Nie wszystko złoto, co się świeci.

Skrzynka do listów.



Współczując w zmartwieniu twojem, **Jesionie**, po odebraniu adresu wyślemy powtórnie zaginiony Nr. „Wieczorów”, zastrzegając jednak, iżby czytelnicy w razie nie otrzymania pisma, reklamowali je na poczcie, my bowiem ze ścisłą akuratnością numerami kolejno przesyłamy prenumeratom. List twój z opisem wrażeń doznanych podczas pobytu w Warszawie zachowamy dla Jaskółki, która z przyjemnością odczyta go za powrotem swoim.

W zastępstwie Jaskółki, używającej w obecnej chwili pożądanego dla wszystkich wypoczynku po pracy, objaśniamy cię, **Siostrzyczko Złotej Rybki**, że dużo komedijek znajdziesz w rocznikach Wieczorów z lat ubiegłych, a w n: 19 r. b. tytuły komedijek przeznaczonych dla młodego wieku, w oddzielnych książeczkach wydanych. Jeśli z nich którą wybierzesz, przesać ci ją możemy. Należy tylko starannie ról się wyuczyć, a odbywszy prób kilka dla nabrania wprawy i swobody ruchów, dobrą grą można sobie i drugim milej przyczynić rozrywki.

Złotej Rybce z nad Wołgi w imieniu nieobecnej Jaskółki pozdrowieniem za pozdrowienie płacimy, życząc jej, aby kiedy przyplęnęła też w nasze strony i pluskała się w bystrej wodzie Wisły. Jaskółka za powrotem sama za ładną kartę podziękuję.

Alusi D. donosimy, że książka przeznaczona dla ciebie równocześnie z innymi nagrodami wysłaną została. Skoro jednak nie doszła, widocznie zaginęła, pragnąc więc oszczędzić ci przykrego zawodu, wysyłamy drugą, a tym razem za kwitem pocztowym, abyś ją niewątpliwie otrzymała.

Dorze K. Jeżeli umiesz szyć na maszynie posługuj się nią w wykończeniu sukienki na konkurs, nadmieniamy przecież, że więcej zawsze cenimy ręczną pracę.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:

Kazimera G. Staś i Wańdzia D. Stokrotka i Giermek.

Żarcik na zakończenie.

Nieporozumienie. Optyk do wieśniaka, chcącego dobrać okulary, pokazując mu litery na ścianie:

— Czy możecie stąd przeczytać? — Nie, nie mogę? — Pojdźcie bliżej, a stąd czy możecie? — Nie mogę? — To dziwne, a stąd (stawiając go przy ścianie) możecie czytać?

— Nie, nie mogę. — Cóż to jest? ja nigdy coś podobnego nie widziałem, nie możecie z tak bliska takiego wielkiego pisma przeczytać? — A kiedy ja wcale czytać nie umiem!

Co jest szczytem skąpstwa? — Nie przegłądać się w swoim lustrze, żeby nie zużyć jego własności odbijania.

NAJPRAKTYCZNIEJSZE

palta, sukienki, kapelusze, sukienki do chrztu, bielizna dziecienna

W MAGAZYNIE

JANINY

w Warszawie, Marszałkowska Nr. 151.

10—1